

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

ROK VII. KRAKÓW, 15. CZERWCA 1931. NR. 10.

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 80 GROSZY

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VII. KRAKÓW - 15. CZERWCA 1931. № 10.

WAKACJE

Zabrzmiało słowo jasne, uśmiechnięte,
niosące wszystkich możliwości moce,
na dźwięk którego aż serce dygoce,
takie uroki w ten wyraz zaklęte!...

Wakacje! Koniec trudu codziennego,
wysiłków, zmagań, udręki, trudności.
Korona pracy, mężnej wytrwałości,
ulga, początek jutra beztroskiego.

Wakacje to jest cień lasu, nurt rzeki,
to łąk szmaragdy, to słońce i kwiaty,
to pszczelny sadek koło ojców chaty,
to błękit nieba głęboki, daleki...

Wakacje — znaczy szumny bezkres morza,
fal kołysanka i pieszczota słońca.
To gór dostojność, wędrówki bez końca,
tysiące przygód, zachód, ranna zorza...

Wakacje — to jest spokój i przyroda,
to żywa księga, ożywcze wrażenia,
to upragnione godziny wytchnienia,
to wiatr i słońce, przestrzeń i swoboda!

Alina Kwiecińska.



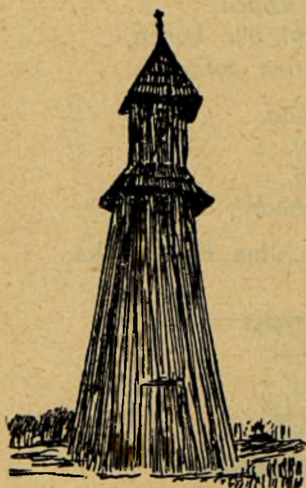
Michał Szymański, Zakopane

O DREWNIANYCH DZWONNICACH PODHALA

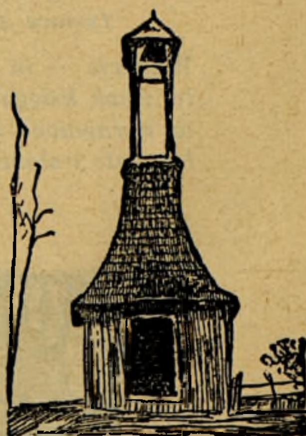
Dzwonnice tutejsze posiadają swoisty charakter. Są one po większej części rozmieszczone zdala od kościoła. (Wyjątek stanowi dzwonnica, stojąca przed starym kościółkiem zakopiańskim) w połowie wsi, pośród siedzib ludzkich, albo też w szczerem polu, pośród rozkołysanych traw i miedz, oparte o kępę drzew bukowych, lub zgrzybiałych smreków. Te to dzwonnice wzywają po trzykroć w ciągu dnia, swym rzewliwym poszeptem „wsiowskie serca" na Anioł Pański!

Podobnie jak kapliczki (patrz poprzedni numer „Dziś i Jutro") posiadają i dzwonnice „bajeczny artyzm" wyrażający się w oryginalnej formie i prostocie, są jakby jakąś łącznością z ziemią i człowiekiem tutejszym. Roztaczają wokrąg siebie tak wielki czar, iż nawet mniej zainteresowany sztuką, musi ocenić ich piękno. Są one rozmaitej konstrukcji, posiadają jednak pewne rysy wspólne nad któremi góruje najszerszy łącznik: nadzwyczajny umiar, będący jakby jakąś pełną obręczą całkowitego ich połączenia. Fundatorami są zwykle majstrowie ciesielscy.

Najczęściej spotykamy u dzwonnic wieżyczki pochyłe, kryte drobnym gontem lub deskami. Zazwyczaj w zakończeniu wieżyczki ścianki przybierają kierunek prostopadły do ziemi. W tych ściankach znajdują się okienka rozmaitego kształtu. Najwyższa część dzwonnicy jest oddzielona gzymsem od reszty dolnej, jak to widzimy n. p. przy dzwonnicach: w *Dzianiszu, Cichem, Podczerwonem na Podhalu,* lub też *Harbabuzie, Lipnicy na Orawie.* Niektóre wieżyczki posiadają wstawki słupkowe, wspierające daszek, jak to widzimy przy dzwonnicach w *Słodyczkach, Witowie.* Inne dzwonnice mają ściany całkowicie prostopadłe, pozbawione piąterka i wstawek, lecz zachowujące okienka, jak n. p. na *Spiszu,* po stronie czechosłowackiej we *Frankowej.*



Dzwonica w dolnym Dzianiszu



Dzwonica w Murzasichlu.



Harbabuz (na Orawie)



Frankowa na Spiszu Czech.



Słodyczki

Dzwonnice tutejsze niepozorne, przygarbione czasem, zielone poblaskiem mchów, kryją pod swą powłoką przeogromną świeżość, stwierdzającą, jak rzeczy-zabytki, istotnie piękne zachowują swój niegasnący „koloryt", mówiący o potrzebie ich istnienia.

Góral, który odznacza się pewną szorstkością obejścia, leżącą w jego charakterze, żywi często dla tych „swojskich zwonnic" rodzaj pietyzmu, który mu nakazuje starać się o ochronę ich przed zniszczeniem przez starość czy też „inakse biedy".

ŻNIWA

Szepczą kłosy pszeniczne: złotym szmerem prószą
w ćwierk świerszczy. Szumią sennie niw złocistych fale.
Słychać ostry chrzęst sierpów i szelest powróseł.
Żarki sierpień na niebie złoty stos zapalił.

Żniwiarze się nurzają w szemrzących zatokach
pod chrzęstem nastroszonych pióropuszy kłosów:
twarze na bronz spalone, wsparte w ściernie stopy
żylaste i ścięgniste, twarde stopy bose.

Bolą krzyże. Pot ścieka smugami wzdłuż grzbietu.
Lepią się przepocone do pleców koszule.
— W pocie czoła pożywał będziesz człeku chleb twój,
każdy kęs krwią zaprawisz i trudem i bólem.

Szorstkie dłonie, pokłóte od srebrzystych ostów
pod ostry księżyc sierpu garść za garścią garną —
na ściernisku pod słońce kładą złote mosty
z chrzęstnych kłosów i złotem dzwoniącego ziarna.

Wiążą snopy w szeleście skręcanych powróseł —
ustawiają w kopice: za dziesiątkiem dziesiątek.
Ziarno twarde z plew kłosu wyłuskujesz jak z łusek:
źrałe, ciężkie, złociste, jak dukaty dzwoniące.

Józef Aleksander Gałuszka.

Zofja Kossak-Szczucka

TESTAMENT PROBUSA

W kasztelu krakowskim, zniszczonym i ograbionym wielokroć kolejno przez drużyny Konrada mazowieckiego, Leszka Czarnego, Łokietka sandomierskiego i Henryka wrocławskiego, które to wojska choć swoje, grabiły i niszczyły wszystko nie gorzej od obcego najeźdźcy, jedna tylko komnata na piętrze była jako tako odczyszczona i do zamieszkania zdatna. Pajęczyną osnute i poobtłukiwane ściany były przysłonięte oponami tkanemi w herby panów Piastów śląskich. Pod ciężkim, przykrytym kurzem baldachimem, czyli podniebieniem, stało wielkie łoże, obciągnięte w sczerniałe od starości złotogłowie. Niegdyś przystrojono je tak bogato dla księcia Bolesława Wstydliwego i Kingi Hungarki, gdy po odejściu Mongołów wracali do Krakowa z wygnania. Lecz młoda księżna inne już podczas uczyniła śluby i Bolesław Wstydliwy sypiał tutaj sam jeden. Potem komnata stała pustką, gdyż zajmujący dłużej lub krócej Kraków książęta, woleli sypiać na dole wśród drużyn. W czasach, gdy kasztel stał bezpański, na podniebieniu siadały wlatujące przez okna bez szyb kawki, a na książęcem łożu wylegiwały się zamkowe pachołki. Dopiero niedawno, po krwawych walkach z Łokietkiem sandomierskim i Bolesławem płockim, — Henryk wrocławski, wnuk owego co pod Legnicą rycersko zginął — zkolei czwarty, przezwiskiem Probus dla wielkiej uczciwości i minnesänger dla zamiłowania w pieśniach — zająwszy Kraków, kazał odczyścić co nieco książęcą sypialną komnatę i sam w niej zamieszkał.

Teraz w ciepłą, wonną i chmurną majową noc, roku pańskiego 1290, leżał na szerokiem, spłowiałym złotogłowiem obitem łożu, strawiony gorączką i ciężką, śmiertelną niemocą. Chociaż nie zdobywał Krakowa po to, by sprawić sobie w nim zaręczyny — miał pono rychło zamienić wianki ze śmiercią. Oczekiwał tęsknie z każdą chwilą powrotu posłów wysłanych do Rzymu o pozwoleństwo Papieża na koronację, a doczekać się miał innego nieproszonego posłańca, co chyżej bieżał od tamtej strony, od nawi, niż one posły od włoskiej granicy.

Pląsający płomień czterech świec woskowych, zatkniętych w bronzowy świecznik, pochylany wiatrem wiejącym przez szpary w drewnianej zaworze okiennej, ukazywał kolejno to ciemne belkowanie stropu i ciężkie zarysy sprzętów, to głowę księcia wspartą na sztywnej twardej poduszce, jego żółtą cerę, zaostrzony nos i zapadłe usta.

W kącie izby na ławie zasłanej kobiercem, z gęśliczką w ręku, siedział nieodstępny muzyk księcia, obieżyświat, rodem z Prowancji, z wychowania Niemiec, imieniem Beno. Stroił z cicha gęśle, spoglądając raz po raz z niepokojem w stronę łoża. Przy drzwiach skulony na ziemi drzemał bosy pachołek w płótniance.

Książę poruszył niespokojnie rękami, naraz otworzył oczy i rzekł:

— Jest tu kto? Beno?

— Słucham Wasza Miłość.

— Tętent jakiś na dziedzińcu...

— Konie pędzą na łąkę pewnikiem...

— A może to posły nadjechały? bo zda mi się, że zgiełk słychać...

— Maćko! krzyknął rybałt do pachołka, bieżaj dowiedzieć się, co to za gwar...

Pacholik porwał się z miejsca, przetarł otumanione oczy i poleciał dudniąc po trepach schodów bosemi piętami.

Rybałt podszedł do łóżka.

— Jak tam Waszej Miłości? zapytał z niepokojem. Lecz chory nie dosłyszał pytania, cały wsłuchany w odgłosy dolatujące z dołu.

— One, pewnikiem one! — powtarzał. Siadł na łożu nie spuszczając błyszczących oczu z drzwi. — Skrzypnęły, pacholik wracał.

— Są posły?! — rzucił książę bez tchu.

— Nijakie posły, Wasza Miłość, jeno kasztelańskie ludzie pobiły się z biskupowemi, konie pędząc na nocnik...

— Beno...

— Słucham Wasza Miłość.

— Tak mi się widzi, że one już muszą blisko... bliziuchno... Ojciec św. mi się śnił co ino... Trzaby kogo przed nich pchnąć... Niech się śpiechają...

— Na węgierskim gościńcu, palatyn kazali wiechy słomiane ustawić i strażę, która gdy posły nadjadą, wiechy zapali, a strażniki wnet ogień obaczywszy, otrąbią...

— Tak palatyn rozporządzili? To dobrze... Strażniki nie pośpią na bramie?...

— Gdzie zaś! Dyć słychać ciągiem, hukają jak sowy...

Na chwilę zaległo milczenie.

— Beno! — podjął książę znowu — czas się dłuży... śpiewaj...

Rybałt poskoczył ochoczo po gęślę.

— O Walterze Silnorękim z Akwitanji, Wasza Miłość?

Książę zrobił przeczący ruch ręką.

— O Helgundzie i pięknym Walcerzu?

— Nie, nie chcę niemieckich, śpiewaj polskie.

Prowansalczyk otworzył szeroko oczy.

— Polskie? — powtórzył ze zdumieniem — sąż pieśni w polskiej mowie?

— Jakże! — obruszył się chory — o Pietrku Duninie Właście... O hardym kniaziu Romanie co zginął pod Zawichostem... o św. Wojciechu takoż...

— Anim ich zaczuł — wyznał Beno.

— Kajś się uchował? — rzucił książę opryskliwie. — Dziw isty, że tyle roków w mojej służbie będąc, dotąd nie nauczyłeś się polskich pieśniczek...

Beno byłby mógł ze wszelką słusznością odpowiedzieć, że jeszcze niedawno książę sam, niemieckie a prowanckie pieśni, nad wszystkie inne przekładał i w niemieckiej mowie rymy układał, które to rymy zjednały mu na Zachodzie wielką sławę najprzedniejszgo trubadura między książętami. Zmilczał jednak, nie chcąc drażnić chorego.

— Więc co zaśpiewać — zapytał pokornie.

— Nic, skoro polskich nie umiesz; czytać będziesz, jeno wprzód światła zażgnij, bo zda mi się jakbyśta już pusty wieczór przy mnie sprawowali...

— Chyba łuczywo zaświecę — zafrasował się Beno, bo w tym kasztelu drugiego świecznika niemasz...

— Niechta i łuczywo...

Rybałt przyciągnął żywo z sąsiedniej komnaty wysoki żelazny stojak, zatknął zatknął weń kilka wyciągniętych z za komina szczypt i zapalił je od świecy. W komnacie pojaśniało cokolwiek, niebardzo. Cienie stały się ruchliwsze, większe i sprzeczne.

— Co mam czytać Wasza Miłość?

— Vitae sancti Stanislaus... Vitae major... O, tam leży...

— Rybałt skrzywił się nieznacznie, gdyż czytanie, szczególnie po łacinie, przychodziło mu z trudnością — i sięgnął po książkę, odkładając z żalem gęślę.

Przysunął się bliżej ku światłu, wytarł hałaśliwie nos, objaśnił knoty świec i powolnym głosem zaczął czytać:

...Beatus igitur Stanislaus ut annales principum Poloniae, et gestos tangund historiae natione poloni...

Książę przymknął oczy i zdał się drzemać słuchając. Pachołek chrapał pod drzwiami. Beno walczył z ogarniającą go sennością, czytając dalej monotonnym głosem:

...In hoc ope nonsit mentio... Ania antiquitas tempis negligentiae nutrix mater ingratitudinis hanc delenit...

— Stój, przerwał książę — zda mi się, że most spuszczają...

— Nie Wasza Miłość — to żóraw skrzypi, straże wodę ciągną...

Chory umilkł z rezygnacją i leżał

wpatrzony w pułap. Beno czytał długo, powoli, wytrwale.

...Deus ipse solus novit, quando debeat misereri genti Polonorum et restaurare ruinas eorum, ideo usque ad ista tempora omnia insignia regalia, coronam videlicet, sceptrum et lanceam, servant recondita, usque dum ille veniat, qui vocatus est a Deo tamquam Aaron, cui sunt hec reposita...

— Dość — rzekł nagle książę — przestań.

Z ulgą rybałt zamknął księgę i natychmiast zadrzemał, oparty plecami o ścianę. Chory nie odrywał wzroku od pułapu, po którym tańczyły chwiejne, migotliwe cienie. Rzeźbione belki dzieliły strop na głębokie kwadratowe wnęki. W każdej wnęce przyczajał się mrok. Z każdej wnęki, z tego mroku ognistemi literami wysuwały się też same, tylekroć razy słyszane, tylekroć przemyślane, przed chwilą przez rybałta odczytane, prorocze wyrazy:

...omnia insignia regalia, coronam videlicet, sceptrum et lanceam, servat recondita, usque dum ille veniat, qui vocatus est...

...ten, który powołany jest przez Boga by być Aaronem — zjednoczycielem, który podniesie z ruiny nieszczęsny naród Polski.

...Dla niego Bóg przechował insygnja królewskie, koronę, berło i świętą lancę męczennika...

— Insygnja królewskie! Od stu lat z górą leżące w skarbcu w pyle zapomnienia, święte symbole zjednoczenia kraju! Ilekroć o nich dotąd myślał, widział się sam tym, który powołany jest na Zjednoczyciela, zbawcę. Czyż wszystko nie upoważniało go do tego, nie obowiązywało? Był panem Śląska, najstarszej, najważniejszej przodowniczej części Polski. Trzymał w swem władaniu księstwa, wrocławskie, świdnickie, ziębickie, brzeskie, krakowskie i sandomierskie; ziemie: kluczborską, krościeńską, kładzką, wieluńską i ołobocką. Był prawnukiem Brodacza i wnukiem Pobożnego, co obaj życie całe poświęcili sprawie wskrzeszenia Chrobrowego państwa i mocy. On sam, od chwili, gdy z niedowarzonego młokosa przedzierzgnął się w męża, gdy poniechał pieśni i muzyki, turniejów śpiewaczych, wędrówek po cudzoziemnych dworach i łatwych triumfów na „corte d'amore" — a jął twardej razowej pracy w ojczyźnie — nie miał już ważniejszej i pilniejszej troski, jak skupienie rozproszonych dzielnic w jedno.

Lecz w chwili, gdy cel ten osiągał, śmierć zeszła doń w zrękowiny i ujednać się nie chciała modłami, ofiarami, ni odczynianiem uroków. Czaiła się w zakurzonych fałdach baldachimu, siedziała na przyzbie zamkowej, ślepemi dołami oczu patrząc w niewidzialny zegar na którym znaczyła swój czas.

Leżąc na łożu w nieskończone godziny, dnie, tygodnie, przeciągającej się od paru miesięcy niemocy, książę czuł tę milczącą obecność i młode jego ciało buntowało się przeciw niej rozpaczliwie. Gorycz zalewała serce. Ot, bieży człowiek do celu, drze się ku niemu, wszystką siłę i wolę wytęża — a o drobny kamyczek zawadzi stopą i upadnie. Ot twoje zamysły, chudziaku, mizeroto, prochu człowieczy! Zda ci się, że co masz spełnić jest wielkie i ważne jak świat, że sam Bóg cię do tego przeznaczył, a śmierć śmieje się z ciebie i z tych twoich górnych myśli.

By jeszcze ginął rycersko, w bitwie, jak dziad! Lecz niemoc jego poczęła się od tego, że śmiech rzec — skaleczył się w piętę na łowach. Ani zwrócił na to uwagi. Nie przyszło na myśl, ani jemu, ani nikomu, że to rana bez ochyby zadana urokiem i nie odczyniono zła zawczasu. Nie zawieszono onucy ze skaleczonej stopy na krzyżu, lub drzewie, ani nie spędzono uroku na psa. Rana poczęła się jątrzyć i jątrzyła długi czas. Chodził chromy, nie wiele o to dbając. Księciu dłoń i głowa potrzebna, nie nogi. Stać go na to by wierzchem jeździł, miast chodzić piechotą. Potem wprawdzie medyk ranę zagoił, ale opuchła mu czegoś goleń i kolano. Stało się bolawe

nabrane i dokuczało niemało. Powoli niemoc objęła całą nogę aż do biodra, uczyniła ją ciężką, jak kłoda, czarnosiną. Wraz księcia zaczęła męczyć gorączka, stawiając przed oczyma zwidy, obłudy, odbierając siły i sen. Najpotężniejsze leki nie pomagały, cóżby zresztą pomóc mogły, skoro słabość nie wynikła z cielesnego defektu materji, lecz z czarów? Boć wiadomo, że wszystkie choroby rodzą się z czterech cieczy, mianowicie krwi i żółci, melancholji i flegmy. Jak zaś istnieją cztery elementy tak i cztery ciecze, a każda naśladuje swój element. Krew — powietrze, cholera czyli żółć — ogień, melancholja — ziemię, flegma — wodę. Objawy zaś słabości książęcej były sprzeczne z naturą i właściwościami odnośnych cieczom elementów, co najoczywiściej wskazywało na ciemną dziedzinę czarów. Zazionęli je pewnikiem ci, co nie radzi słyszeli, o nastąpić mającem zmartwychwstaniu królestwa polskiego — zbyt liczni niestety, by ich można było pochwycić, utrupić, a tem samem jad mocy pozbawić.

Świadomy tego, Henryk IV przestał oczekiwać wyzdrowienia, oburącz jeno trzymając się życia, by doczekać chwili, w której wrócą posły z Rzymu z pozwoleniem Ojca św. i koronę na głowę, choćby konający włoży. Potem może umrzeć spokojnie. Przed śmiercią jako król, pomazaniec, w całej wadze cnego włodyctwa, przekaże królestwo jednemu i wola ta musi być uszanowaną. Jużcić Przemysłowi, mądremu, zabiegliwemu władaczowi Wielkopolski. Zawzięty Łokietek nie dorósł ni wzrostem, ni umem na króla.

Zamyślił się nad tą trawiącą go oddawna sprawą, nad Polską rozdzieloną, niby na poszczególne gazdowstwa. Żaden z siedzących na nich książąt, nie pragnął. powrotu królestwa. Wiela ich tam obchodziło mocarstwo, włodyctwo! Każdy rad siedział na swojem, kłócąc się zawistnie z sąsiadami. By krewniakowi dokuczyć, graniczne siodło wydrzeć i do swoich włości włączyć, gotów sprzymierzyć się z Niemcem, Czechem, nawet z djabłem. Przed śmiercią zasię rozdzieli każdy zkolei swą dziedzinę między synów, co znów swarzyć się będą między sobą i za łby brać, a obcych o pomoc prosić, aż przepadnie, rozleci się Polska... Już co rok, co rok jej ubywa... niby z miałkiego brzegu, co woda odrywa, zabierają na wieczne nieoddanie — piędź za piędzią. Już przepadła ziemia lubuska, już weszły Niemcy za Odrę... Gdzie dojdą za sto lat?!

Groza go nagła ogarnęła. Zapragnął krzyczeć, ostrzec, prosić by się zbierali do kupy. Dostojna postać prymasa Jakóba Swinki stanęła w oczach, jego nabrzmiałe bólem i troską, wygłoszone na Synodzie słowa:

...Zagłada idzie no Słowian... zagłada... tu Niemcy... tutaj Krzyżaki... nowy wróg... W klasztorach Niemce już się odrywają od polskiej prowincji... Do Saskiej chcą należeć... W polskim klasztorze, w głębi Polski wzrośli i ot...

O blanki wieżowe, o krokwie huczał wiatr i choremu księciu zdało się, że to nadciąga zewsząd germański zalew, stado nieprzeliczone kruków ciągnących na wschód, na wschód.

— Do kupy się brać! do kupy! — krzyknął na wpół głośno rozgorączkowanemi wargami.

— Słucham Wasza Miłość — poderwał się Beno obudzony.

— Nic nie gadałem — rzekł książę oprzytomniwszy. Zaciął wargi i zatopił się znowu w wirze kołujących myśli. Kłębiły się wokół, toczyły, przepychały, rozsadzając czaszkę. Skroś zwartego ich chaosu, dwie świadomości jasne, przenikliwe jak sztylety, wrażały się ustawicznie w pamięć: że posły nie nadjeżdżają, i że ich przyjazdu nie doczeka. Żałośnie głowę wsparł na twardej, przesiąkniętej śmiertelnym potem poduszce, co haftowana dla niespełnionego małżeństwa Bolesława i Kingi, snać przeznaczona była, urzeczona na to, by kołatały się po niej głowy płonące od nieosiągalnych zamierzań i marzeń. A jakby nie dosyć męki, przywlokły się gdzieś z od-

dali przypomnienia własnych błędów. Jak był przed dziesięciu laty, na dworze wiedeńskim Rudolfa Habsburga. Chwalono go i podziwiano za piękną grę na harfie, za pieśni, za wykwint obyczajów. Nadano tytuł „króla minnesängerów". Olśniony łaskawością monarchy, ujęty uznaniem, z dobrawoli zgodził się być lennikiem cesarstwa. Wspomnienie to od dawna paliło go wstydem okrutnym, którego nic nie zmaże, krom korony. Lecz nie dożyje korony.

Nie doczeka.

Rozpalone gorączką oczy wbił w mrok, zaostrzony chorobą słuch wytężył, łowiąc ciszę, czy nie przyniesie odgłosu nadjeżdżających.

(Oni posłowie zaś podczas, w węgierskiej gospodzie przegrywali w kości pieniądze, które nie życzący sobie króla i królestwa wielmoże dali im, by nie wracali do Polski, aż wiadomość o śmierci Henrykowej otrzymają...).

...Nie doczeka się ich książę.

Porwał się nagle na łożu, siadł z płonącemi oczami. Trza radzić! trza bronić! Pisać ostatnią wolę! Testament. Włodyczy testament! Przekreślić wszystkie błędy, unieważnić! I Rudolfowe lenno, i Wacławową sukcesję. I nakazać, potężnie nakazać Przemysłowi, Henrykowi głogowskiemu, co mają czynić... Pisać! pisać! Gdzie palatyn?! Przerażony rybałt poleciał co duchu. Nieskoro przyszedł palatyn, comes palatii, zaspany, z mierzwą we włosach, za nim kasztelan Dobek, za niemi medyki i niewiasta — zaklinaczka.

— Chcę ostatnią wolę pisać — rzekł kisążę gorąco — posyłajcie po biskupa i pieczęcie, skoro! skoro!

Palatyn przetarł ze zdziwieniem oczy.

— Teraz! Wasza Miłość! Noc późna! Ino co kury piały... Jutro zrana zwołamy księdza biskupa i panów wielmożnych z Rady...

(Jak lekce ,jak łacwie mówić: jutro — zdrowemu!).

— Teraz, upierał się książę — Panów nie trza... starczy was, byle ks. biskup.. ślijcie teraz! duchem! skoro! — bo jutro...

— Ni dokończył, gdyż ból go nagły przejął, powalił, odebrał mowę i dech. Skowyczał z męki, targając powietrze rękami. Medyk dostąpił szybko, lecz książę odegnał go ręką ze złością. Kasztelan nachylił się nad łożem.

— Wasza Miłość — rzekł — tu jest białka jedna co przednio zamawia. Aże z Sącza my ją sprowadzili... Bych o niej raniej wiedział dawno by Wasza Miłość ozdrowieli... Pomoże pewnikiem... A Beno po biskupa niech bieży... Książę niecnie odpowiedział, charcząc z bólu przez zaciśnięte zęby ,przeto kasztelan skinął na niewiastę Niemłoda, tęga, na imię miała Hosanna, gdyż była córką biegłego w piśmie magistra. Zakrzątnęła się chyżo koło leków, rozdmuchując przyniesione ze sobą żarzące wegle z olszynowego drzewa. Cisnęła je czerwone na kociołek z wodą święconą, posypała suchem zielem, a gdy komnata wypełniła się ostrym dymem, odsłoniła nogi księcia, obie już opuchłe, sine, cuchnące i dmuchając na nie dymem, jęła zwolna, śpiewnie mówić:

...Chodziła Matka Boska po złotym moście
A ty boleniu wynijdź od koście...
Chodziła Matka Boska po złotym moście
A ty boleniu wynijdź od koście...

. . . .

Trzy razy po dziewięć razy i jeszcze raz po trzy. Chwilami przerywała i odganiając dym ręką, patrzyła uważnie, czy opuchlina już się zmniejsza. Poczem zaczynała na nowo łagodnie ciągnącym, cierpliwym głosem. Monotonny ten śpiew działał kojąco. Książę przestał rzęzić i przymknął oczy w odrętwieniu, które było ulgą. Otworzył je dopiero, gdy podniesionym głosem mówiła:

...Niech będzie skóreczka ze skóreczką, kosteczka z kosteczką, krewka z krewką, żyła z żyłą, siła z siłą, nie moją mocą, ino Boską pomocą...

— Lepiej mi — szepnął książę — dajcie jej ćwierć kopy groszy...

I zadrzemał. Hosanna obdarowana, dumna wyszła z komnaty. Tuż za drzwiami czekał na nią odprawiony medyk, kopnął mocno zaklinaczkę w brzuch i wydarł pieniądze, które supłała w węzeł chusty. Zatoczyła sią na ścianę z przeraźliwym wrzaskiem broniąc swego dobra. Na ten zgiełk wyleciał z izby książęcej palatyn i zwymyślawszy grzmiąco oboje, zepchnął ich na dół ze schodów. Nie troszcząc się więcej o to co poczną, wrócił do komnaty na palcach. Lecz odgłosy zajścia rozbudziły księcia zupełnie. Chwilowe ukołysanie, nadzieja snu, minęły bez śladu, wróciły natarczywe myśli, a z niemi zmora piekąca, żałość nie do zniesienia i gorączkowe pragnienie zabezpieczenia choć części swej pracy.

— Wyjrzyjcie tam — prosił — posłuchajcie, czy nie jadą.. Biskupa, czy jeszcze nie widno?

Kasztelan Dobek odsunął zaworę okienną; wpłynęło falą perłowe światło brzasku i cudnie wonne majowe powietrze.

— Nikogo nie widno — zapewnił — ale zda mi się ,że na odwieczerz zbierze się deszcz, bo mgła...

— A lny jeszcze nie posiane! — westchnął palatyn.

— Wielmi późne jaro latoś...

Książę podniósł głowę z wysiłkiem i spojrzał bystro na nich obu.

— Słysz, Dobek — rzekł — kiej umrę, powieziecie mnie do Wrocławia... pomnij, żeby na trówle pobok orła śląskiego, był orzeł biały, krakowski, w koronie...

— W czem? zapytał kasztelan, nie dosłyszawszy.

— Orzeł biały w koronie... — powtórzył książę dobitnie — to będzie znak królestwa polskiego na zawzdy... Tak rzekłem... I we Wrocławiu ma być... Bo to jest królewski, polski gród... Rozumiesz?

— Dyć rozumiem, Wasza Miłość.

Kroki zaszurały na schodach. Sapiąc ze zmęczenia i zbytniego pośpiechu, wszedł ksiądz biskup krakowski, tuszy dość okazałej, lica czerwonego.

— In nomine Patri et Filii... — żegnał komnatę wchodząc.

— Amen — rzekł Henryk — ostatnią wolę moją, książęcą, chcę spisać ręką Waszej Wielmożności, wobec tych oto dwu szlachetnych świadków...

— Mam perganim, inkaust, pióro i pieczęcie — rzekł biskup, siadając za stołem. Wstrzymał gestem rybałta, który przysuwał mu świecznik. Jakoż dzień już był jasny. Zgaszono światła, otwierając wszystkie zawory okienne. W zielonawem blasku świtu twarz chorego zdawała się trupią, lecz głos jego brzmiał przytomnie i nakazująco, gdy przeżegnawszy się, sprężając ostatek woli i sił zwolna, wyraźnie dyktował:

...Ego Henribus, divina miseracione dux Slesiae, Cracoviae, Sandomiriae, e. t. c. e. t. c. sciens nihil esse cercius morte...

. . . .

Pierwszy słoneczny promień przeszył ukośnie komnatę.

Dr. B. Kalitowicz.

LISIEUX

Lisieux —nazwa ta nic mi nie mówiła. Przejeżdżając wiedziałem, że to stacja węzłowa, gdzie pociąg ma postój pięciominutowy, tyle co do nabrania wody, a za stacją szare prowincjonalne miasteczko. Patrząc obojętnem okiem i na myśl mi przyjść nie mogło, co poza tą nazwą może się ukrywać.

O istnieniu Świętej Teresy od Dzieciątka Jezus prawie nic a nic nie wiedziałem aż do czasu, gdy wpadły mi do rąk Jej „Dzieje duszy".

Mając teraz kilka dni wolnych przed nową podróżą morską postanowiłem odwiedzić Lisieux.

W pewny sierpniowy poranek pociąg pośpieszny Paris—Cherbourg w kilka godzin przeniósł mię z Gare St. Lazare do celu podróży. Nie zdołam dokładnie opisać wrażenia. Już na dworcu rzucają się w oczy ogłoszenia, napisy na ścianach, na omnibusach „Carmel", „près le Carmel" — pomieszanie rzeczy zwykłych, szarych z czemś wysokiem, świętem.

W hotelu „Moderne", gdzie stanąłem, wydało mi się wszystko pełnem spokoju. Dobrze i przyjemnie patrzyło z twarzy hotelowej służbie, sympatycznemi wydały mi się ich ubrania, fartuchy, nawet ściany i stare meble w pokoju. Do wszystkiego uśmiechałem się całą duszą; dlaczego? — nie wiem.

Wychodzę na miasto w kierunku Karmelu. Klasztor leży nad małą rzeczułką. Z za bocznych jego murów wyglądają kudły kasztanów, które przed trzydziestu laty kryły pod swemi liśćmi „L'Enfant chérie du Monde". Te same kasztany!

Uliczka przed klasztorem zapchana autami, autobusami, pełno ludzi. To dwie pielgrzymki z Belgji i Holandji. Za ogrodzeniem, kościółek niewielki w stylu odrodzenia.

Wchodzę. Nawprost wielki ołtarz z rzeźbą doskonale wykonaną. Na prawo mauzoleum. Jest to przybudówka o formie półkola oddzielona gustownem okratowaniem. Tam pośrodku stoi grobowiec, gdzie złożono zwłoki Świętej, a wokoło niego na lśniącej marmurowej posadzce leżą pęki świeżych róż.

W kościele przestrzeni niewiele, ale jakiż ruch szalony, tłum stale się przelewa. Spojrzawszy do góry ujrzałem zwisające sztandary niemal wszystkich narodów: norweski, japoński, czilijski... Jest i polski. Oczy zwracają się ku witrażom, na których postacie ludzkie występują w nowoczesnych strojach: Jej ojciec w czarnym surducie, dzieci, kobiety. Dalej żołnierze w uniformach polowych, okopy z wojny światowej. Dziwne wrażenie, takich witraży jeszcze nikt nigdy nie oglądał. Wewnętrzne ściany kościoła wyłożone tabliczkami z marmuru, na których widnieją napisy. Któż by to się trudził odczytywać je. Te słowa wdzięczności nawet wyryto dla braku miejsca na gzymsach tak drobnemi literami, że chyba dojrzeć je można tylko przez lupę. Rzuca mi się w oczy krótkie podziękowanie żołnierza angielskiego. Trzeba pamiętać, że Wielka Księżniczka Niebieska jest też i opiekunką żołnierzy. Zobaczmy jak Ją armja czci.

Tuż przy drzwiach mauzoleum umieszczono na ścianie długie oszklone gabloty, od góry do dołu zawieszone rzędami krzyżów legji honorowej. Wiszą ordery „croix de guerre", feldcechy z numerami niektórych pułków, akselbanty, rynsztunek, przepasana sznurem trąbka sygnałowa.

Wszystko to zniesione w hołdzie dla Świętej.

Przy kościele w budynku klasztornym można oglądać pamiątki pozostałe po św. Teresie. Staję w długim ogonku i posuwam się zwolna. Tam wśród za-

ledwie kilku wystawionych przedmiotów wisi ogromny Jej portret dobrego pendzla. Z całej postawy, z twarzy bije nie tylko piękno, ale przedewszystkiem zdecydowanie i wprost królewska wspaniałość. Reprodukcji tego portretu nigdy nie oglądałem w sprzedaży.

Św. Teresa od Dziec. Jezus choć tak niedawno zmarła już święci triumf. Kult Jej stale się szerzy, gdzie tam — wszędzie się wciska i rozlewa z szybkością zarazy.

Aby zrozumieć i ocenić ten nowy typ świętości, trzeba zapoznać się z Jej życiem, z Jej pamiętnikami, jakie pozostawiła.

To co posiada czar, co pociąga i zapala, to Jej śmiały pogląd na życie tu i w wieczności, to Jej tak zwana mała droga dla dusz prostych i najzwyczajniejszych. Główniejsze cechy tej drogi, to brak wszelkiej nadzwyczajności w życiu codziennem, precyzja w wykonywaniu rzeczy drobnych, a przedewszystkiem bezgraniczna ufność w Bogu i miłość ku Niemu bez zastrzeżeń, do szaleństwa prawie.

Jej genjusz za jednym zamachem wali przeszkody, w najzawilszych sprawach zawsze znajduje jasną odpowiedź, każdy ciężar zamienia w radość. Co za nieoceniony skarb, szczególniej w naszych czasach.

Pan Martin, Jej ojciec, jubiler z Allençon mozoląc się przy pracy nad wprawianiem drogich kamieni do cudzych brosz i pierścionków i przypuszczać nie mógł, że sam jest w posiadaniu perły tak wielkiej, nieoszacowanej wartości.

Zapragnąłem odwiedzić Ich dom w górnej części miasta, zwanej Buissonnets. Jest to dość ładna, otoczona ogrodem willa z czerwonej cegły, urządzona wewnątrz z wygodą i smakiem jak przystało na zamożną rodzinę jubilera. Dziś cała sadyba jest własnością klasztoru i stoi otworem dla publiczności, której nie brak. W jednym z pokoi można oglądać cały zbiór zabawek, do których dotykały rączki Małej Tereni. Na górze jest Jej pokoik, gdzie w czasie choroby doznała od uśmiechającej się Matki Bożej cudu uzdrowienia. W niewielkim, dobrze utrzymanym ogrodzie stoi rzeźba z marmuru, wyobrażająca kilkunastoletnią Teresę w chwili oznajmienia ojcu o swem nieodwołalnem postanowieniu.

Dwa dni w Lisieux minęły jak mgnienie, wracałem teraz na morze.

Zapytywałem siebie, co mogło sprawić, że tyle ludzi w tak krótkim czasie zainteresowało się Jej życiem, że wstrząśnieni i przejęci do głębi duszy oglądają z pietyzmem pamiątki po Niej, oddają hołd, czasem większy niż innym Świętym. Przecież Kościół nasz ma Ich tylu, tak ogromną ilość.

Zwróćmy uwagę na to, co pisze O. H. Petitot w dziele Swojem „Św. Teresa z Lisieux, Odrodzenie duchowe".

„O niej to właśnie wyrzekł Pasterz najwyższy, Ojciec św. Pius XI., że jest: Omen novum „znak duszy"...

Dalej O. H. Petitot powiada: „Zajaśniała światłość cicha a silna — przyszło objawienie"...

. . . .

„Co więcej jeszcze znamienne: oto dusze ślepe, niechętne, niewolniczo zmysłom poddane, znalazły w przypadkowem zetknięciu się z tą książką światło i łaskę nawrócenia. Wedle zdania najbardziej kompetentnych powag „Dzieje duszy" są i pozostaną w działaniu Siostry Teresy Jej narzędziem doskonałem „par excellence".

„Książka ta zawiera w sobie rzeczywiście jakiś wdzięk tajemniczy, którego żadna biografja ani studja nad Świętą posiadać nigdy nie będą".

. . . .

Z żalem opuszczałem ten cichy kącik starej Normandji, unosząc ze sobą garść wspomnień.

A gdzieś tam na dnie duszy wciąż nurtował i odzywał się wyrzut: dlaczego tak późno Boga poznałem?

Marja Walter-Croneck

GDZIE PAPROĆ KWITNIE?

Skrzypnęły drzwi starej leśnej chatki i uchyliły się ciężko. W jasnym otworze zarysowała się ciemna sylwetka młodego chłopca. Chłopiec stanął i patrzył w mrok izby. W ciemnej szarości nie widział nic, tylko w kącie błyskało drobne czerwone światełko. Światełko uniosło się w górę i sunęło w stronę chłopca. Ponad światełkiem ukazała się pomarszczona twarz starego człowieka, rozjaśniona czerwonemi reflektorami.

Staruszek wyjął fajkę z zębów i zapytał:

— A co tam?

— Niech będzie pochwalony — odezwał się chłopak. Przyszedłem do was, dziadku po radę i pomoc.

— No to chodźmy na przyzbę. Młodzi ciemności nie lubią..

I poszli. Usiedli pod ścianą chatki i chwilę panowało milczenie. Mrok zapadał. Na złocistem tle nieba, rysowały się jak czarna koronka postrzępione gałęzie starych sosen. Wyżej niebo przechodziło w ciepły ton fioletu, a potem w tajemniczy granat, na którym błyskały nieśmiało pierwsze, samotne gwiazdy. — Niedaleko, gdzieś w krzakach, ćwierkał cichutko, przez sen, jakiś mały ptaszek. Z boru szła noc i cisza.



Zarysowała się ciemna sylwetka chłopca

Fajka staruszka zgasła. Wyjął ją z ust powoli, i schował do kieszeni. Potem zwrócił się do zamyślonego chłopca i powtórzył jak przedtem:

— A co tam?

Chłopiec ocknął się. Oderwał oczy od złoto-czarnej koronki drzew, od gwiazd, błyszczących na ciemnym aksamicie nieba i zaczął mówić cicho, lecz z przejęciem:

— Dziadku, siedzicie w borze moc lat, znacie każde drzewo i każden krzak. I wiecie też pewnie, gdzie rośnie najwięcej paproci. Powiedzcie mi! Dziś noc świętojańska. Chcę znaleźć szczęście!

Stary gajowy uśmiechnął się. Był to uśmiech dziwny i smutny i serdeczny.

— W borze, synu, jest dużo paproci i wszędzie. Cały las jest niemi podszyty. Są cudne i ogromne. Znam je wszystkie, umiem zliczyć wszyskie liście.

— Dziadku, ach dziadku! To wiecie, gdzie kwitną! Powiedzcie mi, żebym poszedł i znalazł a nie błąkał się napróżno noc całą po borze. Powiedzcie dziadku, wskażcie drogę!...

W głosie chłopca drgała prośba gorąca. Stary odrzekł powoli:

— Nie powiem ci, chłopcze, nic. Nie wiem gdzie kwitną, nie wiem, które miejsce ci wskazać. Co rok kwitną gdzieindziej. Lat minęło już tyle, tyle, a ja kwiatu paproci nie widziałem nigdy. A od dziecka mieszkam w borze.

W oczach chłopca ukazało się zwątpienie i przestrach.

— Czy mówicie, że kwiatu paproci

niema na świecie? Dziadku! czy niema?

— Jest synu, jest napewno. Tylko nikt wiedzieć nie może, gdzie zakwitnie. I dlatego trudno go znaleźć.

Chłopak zerwał się z miejsca.

— Jak tylko jest, to go muszę mieć! Zejdę cały bór, zaglądnę na każdą polanę, zbadam każdy krzak paproci. Szczęście mieć muszę!...

Staruszek przytrzymał go za ramię.

— Boru nie obejdziesz i za tydzień. A kwiat paroci kwitnie o północy, chwilę tylko. Jakże go znajdziesz nieboraku?

Chłopiec stał zrozpaczony i bezradny. Stary ujął go za rękę:

— Usiądź przy mnie. Opowiem ci o kwiecie paproci. Dowiesz się jak go znalazła moja siostra, mała, słaba dziewczynka.

— Znalazła? — wykrzyknął radośnie chłopiec — o mówcie, dziadku, jak?

Na niebie zgasły już złote blaski, a noc otuliła liljowym welonem gałęzie starych sosen. Na niebo wybiegły rzesze migotliwych gwiazd, które lśniły nisko ponad ziemię, tak nisko, jakby chciały dotknąć ciemnych czubów śpiących drzew.

Chłopiec osunął się na ziemię, obok kolan staruszka. Pośród ciszy i ciemności, zaszemrał stłumiony, drżący głos:

— Dawno to już było, tak dawno, że lat nie zliczyć. Byłem wtedy młodym chłopcem, tak jak ty, synu. Żyłem w tej chacie leśnej tak jak żył mój ojciec i dziadek. Mieszkałem z młodszą siostrą i małym braciszkiem. Opiekowałem się niemi i całym borem. Ojciec wtedy był w szpitalu, przywaliło go jakieś drzewo. Matkę straciliśmy wcześnie. W tym roku, oczekiwaliśmy oboje z siostrzyczką nocy świętego Jana. Mieliśmy iść do lasu na poszukiwanie paproci. — Mówiłem wówczas tak, jak ty dzisiaj: „przejdę cały bór, obejrzę każdy kwiat paproci. — Szczęście muszę zdobyć"!

Umilkł staruszek — myśli jego musiały być daleko, może w owych odległych czasach młodości. Chłopiec patrzył w gwiazdy. Jedna oderwała się, przemknęła cicho przez strop nieba i utonęła w czarnym borze.

— I co dalej dziadku? — zapytał chłopiec szeptem.

— Więc gdy nadeszła wigilja świętego Jana — opowiadał drżący głos — czekaliśmy niecierpliwie wieczoru. Hania położyła wcześnie spać małego braciszka. Miał wtedy trzy lata i nazywał się Kubuś. Spał już na dobre, gdy zabieraliśmy się do wyjścia. Lecz stuknąłem czemś nieostrożnie i mały zbudził się, zobaczył mnie w czapce na głowie, a Hanię we drzwiach, otuloną szalem. Zrozumiał, że wychodzimy, wyciągnął do nas obie rączki i wybuchnął płaczem. Hania podbiegła do niego, a mnie powiedziała: „zaczekaj Antoś, zaraz go uśpię". Wyszedłem przed dom, i usiadłem tu właśnie, gdzie teraz siedzę. A w izbie śpiewała Hania cienkim głosikiem braciszkowi kołysankę...

Staruszek umilkł i westchnął:

— Hej, lata, lata...

Chłopiec siedział bez ruchu i zdawało mu się że z ciemnej izdebki dochodzi



Chłopiec usunął się na ziemię obok kolan staruszka

go cichy śpiew dziewczęcy. — Ale gajowy ocknął się z zadumy i snuł wspomnienia dalej:

— Czekałem długo, aż Hania przestała śpiewać i usłyszałem rozgrymaszony głosik dziecka i pieszczotliwy Hani. Zrobiła się noc i księżyc świecił już wysoko na niebie. Zniecierpliwiło mnie to czekanie i weszłem do izby. Przez okienko wpadała księżycowa smuga. Hania siedziała na łóżku i trzymała w ramionach Kubusia, który ją mocno obejmował za szyję. Powiedziałem: „Chodź prędko, dłużej czekać nie będę". W księżycowem świetle widziałem jej twarz pełną żalu i bezradności. Odpowiedziała smutno: „Nie mogę zostawić Kubusia. Płakałby bardzo. I nie potrafiłabym znaleźć wtedy kwiatu paproci". „No to jak chcesz — powiedziałem — idę sam. Muszę szukać szczęścia". I udałem, że nie widzę, jak w wielkich oczach Hani zaświeciły łzy. Jedna z nich padła na Kubusiową główkę. — Poszedłem w bór, gwiżdżąc przez zęby. Zły byłem na cały świat. I błąkałem się całą noc po lesie, przetrząsałem wszystkie gąszcze, i kwiatu paproci nie znalazłem. — A Hania znalazła.

Chłopiec siedzący u kolan staruszka poruszył się gwałtownie:

— Ach! Znalazła? Czy zostawiła Kubusia i poszła też w bór?

— Nie synu. Nie poszła. Kwiat paproci zakwitł pod samem oknem w ogródku, na jednym, jedynym małym krzaczku paproci. Zakwitł dla Hani. I ona go posiadła i była szczęśliwa. — I wiesz, poznałem to zaraz, gdy nad ranem wróciłem do domu, zmęczony, zniechęcony i zły. Hania przywitała mnie uśmiechem tak szczęśliwym, że odrazu wiedziałem. Ach, gdybym był wtedy został...

W głosie staruszka były łzy.

— A jak wyglądał ten kwiat paproci? — pytał z przejęciem chłopak.

— Nie wiem. Hania nie pokazywała go wtedy. Ale miała go ciągle przy sobie. Nigdy już potem nie widziałem, żeby była smutna, albo płakała.

— A czy nigdy już ten krzak paproci nie zakwitł?

— Nigdy. — I do boru nie chodziłem już więcej w noc świętojańską.

Umilkli obaj. Chłopiec myślał o tej dziwnej paproci w ogródku, co tak niespodziewanie zakwitła dla małej dziewczynki. Zrozumiał wszystko i wiedział, dlaczego tak się stało. — I już się wcale nie wybierał w las po czarodziejski kwiat. A staruszek jakby to odczuł — położył rękę na głowie chłopca i rzekł:

— Nigdy nie szukaj synu, szczęścia w dalekich, rozległych i ciemnych borach. Nie znajdziesz go. Bo czasem jest obok ciebie, — a ty nie wiesz o tem i odbiegasz daleko — i nadaremnie.

Bór stał w ciszy i ciemności. Gwiazdy uniosły się, oddaliły w głąb nieba. Tylko mleczna droga jaśniała lekką smugą nad ziemią.



Marja Czeska-Mączyńska.

SEN

Zagasła zorza złota,
zastąpił słońce, cień,
skończona już robota,
skończony życia dzień.

Za chwile, nocka parna,
miljonem zalśni gwiazd,
makowe swoje ziarna,
do ludzkich rzuci gniazd

Na skrzydłach srebno-białych,
uniesie anioł-sen,
szczęśliwych i zbolałych
daleko, za świat ten.

Daleko... w kraj marzenia,
powiedzie baśni król,
potęgą zapomnienia,
ukoi wszelki ból.

UNIWERSYTECKA SZKOŁA PIELĘGNIAREK I HIGJENISTEK W KRAKOWIE

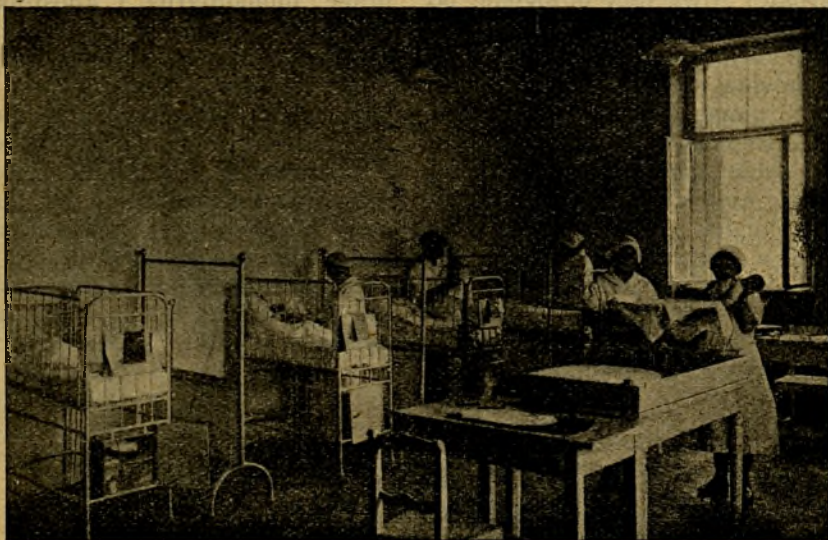
Wiele osób do dziś jeszcze nie ma dokładnego wyobrażenia o tem, czem właściwie jest pielęgniarka.

Pielęgniarka dziś już nie jest służącą szpitalną przeznaczoną do cięższych prac, nie jest też jedynie pełną poświęcenia instotą, usiłującą w sposób mniej lub więcej dyletancki łagodzić cierpienia chorego.

Nie — pielęgniarka nowoczesna do swej szczytnej i istotnie pełnej poświęcenia istotą, usiłującą w sposób mniej kształcenie ogólne i zawodowe, rozbudzoną inteligencję i zapał do pracy, aby wraz z lekarzem stanąć do walki z chorobą, pracować nad dalszym postępem sztuki leczenia, otoczyć chorego sumienną, a inteligentną i świadomą celu i środków opieką. Musi być ona równocześnie osobą o wyrobionym charakterze, miłem, pogodnem usposobieniu, głębokiej kulturze duchowej, aby móc dać choremu jak najkorzystniejszą atmosferę dla jego zdrowia tak moralnego, jak i fizycznego.

Jeżeli słowo „pielęgniarka" jest niejasnem dla większej części naszego społeczeństwa, to cóż powiedzieć o wyrazie „hygjenistka"? Polem działania hygjenistki jest ośrodek zdrowia, przychodnia przeciwgruźlicza, stacja opieki nad matką i dzieckiem,, szkoła publiczna i ambulatorjum fabryczne — ale nadewszystko dom.

W przychodni i w szkole jest ona pomocnicą lekarza, ale to dopiero początek jej pracy. Po skończonych godzinach przyjęć idzie ona do domów pacjentów, interpretuje wskazania lekarza i uczy, jak je praktycznie wykonać, zwalczając przy tej sposobności wśród warstw społeczeństwa przesądy i ignorancje, a krzewiąc zasady hygjeny i racjonalnego pielęgnowania zdrowia.





Pielęgniarka i hygjenistka — to zawody, które w krajach Europy, Ameryki i Azji zaliczane są do najszczytniejszych, jakie kobieta inteligentna, o ideowym sposobie myślenia może obrać. W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie istnieją osobne wydziały pielęgniarskie na uniwersytetach. U nas, w wolnej Polsc, zaledwie pierwsze kroki zaczynamy stawiać. A pole do pracy u nas szerokie! Niwa leży odłogiem, bo pracownic brak. Niemowlęta nasze tysiącami umierają na gruźlicę z powodu nieuświadomienia matek, zarażając całe otoczenie, bo niema kto pouczyć ich rodzin jak postępować. Lekarze szkolni nie mogą sobie dać rady z ogromną liczbą dzieci, którym potrzeba pomocy i nauki hygjenistek — a wszystkie placówki zdrowia publicznego cierpią na niedorozwój z powodu braku wyszkolonego zawodowo personalu. Tymczasem zaś — setki naszych kobiet inteligentnych, o wyższych aspiracjach, które mogłyby na tem polu oddać nieocenione wprost usługi, drży po biurach na echo groźnego słowa „redukcja", lub jęczy w duszy nad losem, który skazał je na niewolniczą szarą pracę biuralistki. Z końcem roku szkolnego wiele młodych dziewcząt staje przed koniecznością wyboru zawodu. Nie wszystkie pociąga praca naukowa. Są takie, które pragną służyć Kościołowi i Polsce przez pracę humanitarną i apostolską. Pielęgniarstwo daje im możność spełnienia tych szlachetnych porywów.

W Krakowie istnieje, jako studjum pomocnicze Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytecka Szkoła Pielęgniarek i Hygjenistek, o kursie 2½ letnim, dwa razy w roku przyjmuje się tam uczennice, które muszą obowiązkowo mieszkać w internacie, z wyjątkiem zakonnic przyjmowanych jako externistki. O bliższe informacje zgłaszać się można do dyrekcji przy ul. Kopernika 23.

M. R.



KTO WINIEN?

Akcja rozgrywa się w Krakowie w tramwaju, idącym przez Kaźmierz, Stradom, w kierunku dworca kolejowego. Bohaterem jest stary żyd. Znacie ten typ. Na kędzierzawe, czarne włosy nasunięty kapelusz odchylony od czoła, korpus zgięty do przodu, opiera się rękami na lasce. Oczy niespokojne, przypatrują się każdemu przedmiotowi, człowiekowi — taksują. Czarny chałat zapięty szczelnie owija tę przysadkowatą postać. Między nim a mną leży na ławce pakunek potężnych rozmiarów. Chcąc czas jazdy zabić, zabrałem się do studjowania tygodnika sportowego „Raz, dwa, trzy"...

Mój sąsiad obserwuje każdego.

Pada komenda.

— „Jazda"!

Motorowy splunął w garść, tupnął nogą w sygnał, skręcił korbą w lewo, odprężył, M. K. E. drgnął.

— Bilety proszę...

— Na Karmelicką... Przesiadka... Rynek... kolejno kupują ludzie bilety.

Mój sąsiad jedzie aż na dworzec. Konduktora jednak to nie wzrusza. Prosi pasażera, by pakunek schował pod ławkę i osobno go zapłacił.



Mój sąsiad obserwuje każdego

Żyd popatrzył na niego, wykrzywił twarz, jak dziecko, któremu się płakać zachciewa i dalej zagłębił się w swoje czarnogiełdowe myśli.

Konduktor zwraca się więc do mnie, prosi, ażebym kosz schował pod ławkę i kupił jeszcze jeden bilecik. Już go wydarł z książeczki i z pięknym uśmiechem chce mi go wręczyć, wzamian za brzęczącą monetę.

Przeczuwając, że będzie jakiś wielki kawał, postąpiłem, jak mój sąsiad... Popatrzyłem, wykrzywiłem twarz jak dziecko, któremu się płakać zachciewa, i zagłębiłem się w swoje czarno... ach przepraszam w swój tygodnik „Raz, dwa, trzy"... Konduktor zwrócił się znów do żyda w tonie cokolwiek podniesionym:

— Mój panie, niech pan to weźmie z ławki!

— Co?...

— Proszę ten pakunek wziąć z ławki i zapłacić dodatkowy bilet!

— Nie rozumiem!

— Jakto pan nie rozumie, czy mówię po chińsku?... Proszę płacić i kwita...

— Jakto płacić?... co to znaczy płacić? — czy ja panu już nie dałem pieniędzy za moją osobę?... Co to ma być dla mnie interes? Płacić!!! Uj.

—Mój panie... — przerywa władca tramwaju, ma pan zapłacić zaraz za kosz, który leży na ławce koło pana, bo przepis mówi, że pakunek o większej objętości i wadze, musi być opłacony jak gdyby to była osoba!

— Co ja mam brać, mój drogi, złoty panie, czy ja panu co zrobiłem złego, niech mi pan ino powi z dobroci serca swego, czy ja pirwszy raz jadę ten tramwaj? czy ja nie jadę spokojnie, bez krzyku, bez niepotrzbny hałas, mój panie, niech mi pan ino powi?...

— Niech pan zaraz zdejmie z ławki pakunek i zapłaci... — pada twarda odpowiedź!

— Uj — to pan się na mnie zawziął, czy ja wyglądam jak zbójnik?!!! Czy z moich oczu źle patrzy, niech mi pan ino powi łaskawy panie konduktor?

Tego było dyktatorowi Nr. 1 za dużo, bo na głos krzyczał:

— Bierzesz żydzie, czy nie?!!!

— Co mam brać???!!!

— Kosz!!!

— Jaki kosz??!!!

— Ten co leży!!!

— Ten co tu leży!!!

— Bierzesz?!

— Co mam brać???!!!

— Kosz... kosz... — woła zrozpaczony konduktor!

(Na około tej parki gromadzą się jadący, ja duszę się ze śmiechu).

— Nie biorę, co mam brać, czy ja jestem złodziej żebym brał? ja nie biorę.

— Więc nie wezmiesz??!! — krzyczy konduktor cały czerwony, spocony, aż zlękłem się, że zginie od pioruna, chociaż pogoda była śliczna.

— Mój drogi konduktorku, co mnie pan namawia, na takie nieładne rzeczy? ja jestem uczciwy kupiec, ja nie biere kosz! Bo poco mnie kosz? Czy ja będę bogatszy o jeden kosz? Niech mi pan ino powi.

— Jak pan w tej chwili nie weźmie tego kosza, to zatrzymam wóz i zawołam policjanta! — woła doprowadzony do ostateczności przedstawiciel potęgi tramwajowej...

Teraz mój sąsiad się przestraszył, bo woda i policja, to dwa czynniki, których boi się panicznie.

— Co to jest? Co to ma być? Co ja mam kraść?

— Jakto kraść?

— Uj... przecież pan każe mi brać ten pakunek!

— Przecież to pański pakunek!

— Uj... co to mój pakunek? gdzie to mój pakunek? ja nie mam żaden pakunek...

— To dlaczego pan zaraz nie powiedział, że to nie jest pański pakunek?...

— Niech mi pan ino powie, czy pan dał mił co mówić? — jak ja chciał coś mówić, to pan mówił — No niech mi pan powie, czy ja jestem winien, czy nie?

Historja nieskończona... zatrzymanie wozu. Policja. Rozprawa. Wyrok 25 zł. kary.

Okazało się, że jakaś kobieta wiejska zapomniała kosz, którego ofiarą padł konduktor i żyd z Kaźmierza.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA

ŻYCIE RELIGIJNE

Wielotysięczne tłumy robotników z całego świata ściągnęły do Rzymu na 15 maja, b. r. czterdziestą rocznicę ogłoszenia encykliki *Rerum Novarum*. Ojciec św. przyjmował osobno pielgrzymki poszczególnych krajów, a następnie do zgromadzonych razem wygłosił przemówienie w języku włoskim, francuskim i niemieckim, wskazując, że m o d l i t w a, p r a c a, p o ś w i ę c e n i e są istotnemi warunkami, osiągnięcia dobrych skutków ze wksazówek zawartych w encyklice jubileuszowej.

Encyklika jubileuszowa „*Qua drogesimo anno*“, jest rozwinięciem encykliki „*Rerum novarum*“. Ojciec św. stwierdza w niej prawo i obowiązek Kościoła do zabierania głosu, o ile one winny być podporządkowane zasadom moralności i omawia naukę Kościoła o własności prywatnej i ustroju społecznym.

Napady młodzieży faszystowskiej na lokale Akcji Katolickiej i na jej członków w Rzymie, Wenecji, Medjolanie i innych miastach włoskich, oraz rozwiązanie przez Mussoliniego katolickich organizacji młodzieży wywołały naprężenie stosunków między Watykanem,

a rządem włoskim. Ojciec św. wystosował notę protestacyjną, przeciwko naruszeniom konkordatu, w którym przewidziana jest Akcja Katolicka i zakres jej działania.

Z licznych krajów katolickich, a między niemi i z Polski, napłynęły do Watykanu telegramy z wyrazami hołdu i synowskiego przywiązania do Stolicy św. i uznania dla Akcji katolickiej we Włoszech.

Uroczystości związana ze świętem Bożego Ciała odbyły się w tym roku u nas ze zwykłą okazałością i nabożeństwem. Pan Prezyden Rzeczypospolitej wziął udział w procesji w Lublinie, prwoadząc celebrującego ks. biskupa Fulmana.

Polski Kongres muzyki religijnej, urządzany staraniem krakowskiego Związku chórów kościelnych, odbędzie się w Krakowie, w listopadzie b r. — Pierwszy kongres tego rodzaju odbył się w Poznaniu 1929 r.

Naukę religji w szkołach jako przedmiotu obowiązkowego skreślił z programu nowy rząd hiszpański — a wprowadza ją rząd brazylijski. Zauważono bowiem w Brazylji, że dotychczasowe „ustawy neutralne“ nie przyniosły krajowi pożytku.

Od czasów reformacji pierwszy **fakultet religji katolickiej** powstaje przy państwowym uniwersytecie w **Rydze**. Podlegać on będzie opiece arcybiskupa ryskiego. Projekt utworzenia tego fakultetu powstał w łotewskiem ministerjum oświaty.

Wzrost katolicyzmu w Ameryce postępuje szybko. W 1929 r. było tam 38.000 nawróceń na katolicyzm. Katolicy amerykańscy utrzymują sami, bez pomocy rządu 8.000 szkół powszechnych, 2.480 średnich, 150 wyższych i 190 seminarjów duchownych.

Znany w Ameryce muzyk, Alfred Oswald, wstąpił do zakonu OO. Jezuitów, a równocześnie żona jego, z którą żył 18 lat, wstąpiła do Karmelitanek. — O. Oswald ma asystować przy obłóczynach swej byłej żony.

SPRAWY NARODOWE I POLITYCZNE

26 maja b. r. ustąpił gabinet ministrów płk. Walerego Slawka. Nowy gabinet ministrów utworzył p. **Aleksander Prystor.** Ministrem skarbu został poseł **Jan Piłsudski**, brat Marszałka, ministrem przemysłu i handlu jenerał brygady **Ferdynand Zarzycki.** Inne ministerstwa pozostały bez zmiany.

Z inicjatywy ministra pracy i opieki społecznej dr. Hubickiego otworzono w Warszawie **Instytut spraw społecznych.** Ma on za zadanie przeprowadzanie badań naukowych nad zagadnieniami bezpieczeństwa i higjeny pracy, zapobiegania nieszczęśliwym wypadkom i chorobom zawodowym. Istytut ma organizować kursa dla pracowników istytucyj społecznych.

W obradach Ligi Narodów język polski zyskał uprawnienie równe z językiem francuskim, angielskim i niemieckim. Ze spraw polskich załatwiono na ostatniej sesji kwestję wystąpień antypolskich w Gdańsku, przedłużając mandat komisarza hr. Graviny na 2 lata i przyznając mu większe uprawnienia celem przeciwdziałania antypolskim rozruchom. Sprawy polsko-ukraińskie i śląskie odłożono do sesji wszeœniowej.

W obradach międzynarodowej konferencji pracy w Genewie, przewodniczył delegat polskiego rządu, **minister Sokal.** Sprawy pracy rozpatrywano z punktu zagadnień ekonomicznych, a nie jak było dotąd, wyłącznie społecznych.

We Francji krążą **pogłoski o zamiarach Hohenzollernów wskrzeszenia monarchji niemieckiej.**

Na odsłonięcie pomnika prezydenta Wilsona w Poznaniu w dn. 4. lipca, b. r. przybędą: wdowa po prezydencie Wilsonie, Ignacy Paderewski, fundator pomnika, przedstawiciele rządu polskiego i rządu Stanów Zjednoczonych. Pani Wilson i Paderewski zamieszkają w Poznaniu na Zamku. Przed uroczystościami poznańskiemi przybędą pani Wilson i Paderewski do Warszawy i zamieszkają też na Zamku, jako goście pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

Od 15 maja **pociągi polskie podwyższyły** szybkość jazdy. Pociągi pośpieszne idą odtąd z szybkością 110 km. na godzinę.

W uniwersytecie warszawskim odbyła się promocja p. Włodzimierza Dolańskiego, niewidomego od urodzenia. Otrzymał on doktorat z filozofji po ukończeniu studjów w Paryżu.

Polska policja lotnicza obejmie wkrótce nadzór nad pasażerskim ruchem lotniczym.

9-go grudnia b. r. odbędzie się drugi powszechny **spis ludności w Polsce.** Według przybliżonych obliczeń Urzędu Statystycznego ludność w Polsce wynosi 31 miljonów 148.000.

Ogólne zajęcie w świecie naukowym wzbudził śmiały **lot belgijskiego profesora Piccarda.** W hermetycznie zamkniętej kabinie dosięgnął on 16.000 m. wysokości. Nie chodziło mu o pobicie rekordu, lecz o wyjaśnienia zagadnień naukowych, a mianowicie tajemniczych promieni kosmicznych, nazwanych promieniami ultra X. Promienie te, dla oka niewidzialne, przenikliwsze od promieni radu, przenikają grube bloki ołowiane, pokłady lodu. Pochodzenie ich niezbadane. Prof. Piccard przypuszcza, że pochodzą one od pewnych radioaktywnych ciał niebieskich.

W Monachjum spłonął słynny pałac Sztuki, zwany Pałacem Szklannym. Znajdowało się tam około 3.500 dzieł sztuki, m. in. zbiór arcydzieł malarzy romantyków, złożony ze 110 obrazów wypożyczanych przez muzea niemieckie. Wyratować zdołano około 50 obrazów. Straty materjalne wynoszą kilka miljonów. Przypuszczają że zachodzi wypadek podpalenia.

WŁADYSŁAW ORKAN
(SMRECZYŃSKI)

Dnia 13 maja ub. roku zmarł w Krakowie, podczas wyjazdu do chorej swej córki, Tosi, jeden z wielkich naszych poetów a piewca najlepszy Podhala i gazda honorny tej ziemi, roztok i jałowców, — Władysław Orkan (właściwe jego nazwisko: Franciszek Smreczyński).

I oto w rok po jego zgonie, bo dnia 17 maja b. r. ziemskie szczątki tegoż wieszcza przewieziono na wieczny spoczynek na stary cmentarz zakopiański, by spoczęły obok Sabały i Witkiewicza.

Orkan urodził się w r. 1876-ym w Porębie Wielkiej w Gorcach, niedaleko Nowego Targu, gdzie też spędził całe swoje życie, pisząc wierszem, bądź prozą o tej skalistej ziemi-glebie, o ciężkiej doli braci-górali, co tak trafnie i prawdziwie odtwarzał i z taką prostotą, jak nikt inny dotąd.

Lecz trzeba wiedzieć, że zanim dostał się do szkół (zaczął pisać w 22-gim roku życia), prawie do 10-ciu lat pasł owce ten przyszły wielki Nauczyciel o oczach mądrych i żywych, o smętnym uśmiechu, szczupłej twarzy i czarnej rozwichrzonej czuprynie.

Po ukończeniu studjów w Krakowie i Szwajcarji wrócił do swojej rodzinnej wsi i tu poświęcił się pracy społeczno-pisarskiej.

Z pod jego pióra w krótkim czasie wyszło wiele cennych dzieł i utworów a najbardziej znane są: „W Roztokach“, „Komornicy“, „Drzewiej“, „Pomór“, a także „Skopany Świat“ — dramat i poezje: „Z martwej roztoki“. Na krótko przed śmiercią otrzymał Orkan nagrodę literacką m. Warszawy.

W swych utworach ujawnił nam Orkan całe piękno, czar i niespożyte wartości ludowe, śpiewając pełną pieśń o życiu i pracy swych współbraci. A wyśpiewał ją na podstawie gruntownego poznania własnego środowiska i tego wszystkiego, co w niem się znajduje. On to, jako góral — chłop z kości, wgryzł się w duszę i w głębie życia swych rodaków i okiem bezstronnego obserwatora-badacza, zbierał i gromadził szeregi bolesnych faktów i przykładów z życia wiecznych nędzarzy, którzy żyli, pracując na biednej roli, i, walczyli z nędzą i śmiercią.

On to, pieśniarz ludowy, niezwykły społecznik (warto przeczytać jego „Listy ze wsi“ i „Wskazania“), świetny znawca swej ziemi i duszy ludzkiej, jest twórcą regjonalizmu, który połączy ściśle i zjednoczy Podhalan ze sprawami ogólnemi, wzbogacając kulturę narodową. Jego Franek Rakoczy jest twórcą lepszego życia na wsi, obrońcą ciemnych, słabych i uciemiężonych.

Orkan wierzył, że młodzi bojownicy, idący walczyć o ideały lepszej przyszłości:

...nie spoczną, ani się nie zegną,
Ani ich żadna nie zatrzyma moc,
Póki ich żółty nie spromieni wschód,
Póki nie zejdzie Wieczna noc
Z błękitu.
Póki w młodzieńczych, białych snach, widziana,
Nie wyjdzie oczom z poza granic świtu
Jasna polana...

Jednak nie doczekał się oswobodzenia ludu góralskiego z rok rocznie powracającej nędzy, bo świat tam dalej został „powolnem konaniem“, a jemu Orkanowi, przyszło tak rychło, tak strasznie nie w czas odejść na inne polany, kędy „Bóg i święci Podhala“...

— — — — — — — — — — —

Hej, zakołysały się gęsle rzewną nutą, zagrali mu poraz ostatni — oprócz marsza żałobnego — także jedną nutę wierchową: „Orkanową nutę“. A poza zwykłą jedlinową trumną, spowitą w wonne górskie kwiaty i zieleń kosówki — łkały rozżalone ludzkie serca, tego ludu, z którego wyszedł On, Wielki syn Podhala, Gazda ukochany z Poręby Wielkiej; szlochali wszyscy tak, jak się placze po stracie kogoś, najbliższego sercu — i szli oddać ostatni hołd Jego śmiertelnym szczątkom...



A śród tego ludzkiego mrowia, śród pogrzebowego orszaku, w obliczu niebosiężnych Tatr — najwięcej było cuh góralskich i kwiecistych chust a spodnic podhalnych!...

E. Kloniecki.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

Ks. dr. Karol Wilk: Św. Antoni z Padwy, (Lwów 1931, Nakl. „Bibljoteka Religijna“). Wydany z okazji 700 rocznicy śmierci św. Antoniego, jest to pierwszy w języku polskim żywot tego Świętego traktowany naukowo, oparty na źródłach, które autor w przedmowie i w przypisach podaje. Pisany przystępnie, przedstawia młodość Świętego, Jego życie klasztorne, pracę społeczną i chwałę pośmiertną. Ukazuje św. Antoniego jako wzór posłannictwa społecznego i charytatywnego Kościoła. „Nie marnując żadnego natchnienia Bożego, rzucił się wprost w środek sporów ekonomicznych i społeczny ferment, a organizując miłosierdzie, goił rany“.

Książka zajmująca i pożyteczna.

Gutsche Jerzy: Czem być możemy? (Nakł. Księgarni św. Wojciecha, Poznań). Książka napisana w tym celu, by „szukającym dróg“ przyjść z pomocą, może więc przydać się teraz tym, co po skończeniu szkoły — z maturą czy bez niej — pytają się co robić dalej. — Mamy tu szereg poważnych myśli o samokształceniu, o wyborze zawodu i sztuce powodzenia, o pracy i odpoczynku, o sporcie, o czytaniu, o radości i źródłach mocy. — Wszystko opromienione żądzą pracy społecznej i służby Bożej, ujęte w formę przyjacielskiej pogawędki, czyta się z zajęciem.

Adams Herbert: „Tajemnica domu za Bramą królowej“. Powieść. Przekład A. Szottowej. Nakł. Księg. św. Wojciecha w Poznaniu. Młody adwokat dzięki swej wytrwałości przyczynia się, lepiej od policji, do wykrycia sprawców tajemniczej zbrodni. Akcja zajmująca, a nie denerwująca.

Przybylski Seweryn: „Goniec Królewski". (Nakł. Książnica-Atlas. Lwów, 1931). — Powieść historyczna, nagrodzona na konkursie literackim m. Warszawy, jako najlepsza książka dla młodzieży, zajmie każdego. Treścią jej przygody dwóch małych chłopców, którzy z Przemyśla, obleganego przez ruskiego księcia Mścisława 1031 r. przedostają się wśród niebywałych niebezpieczeństw do Krakowa, by króla Mieszka II prosić o nadesłanie posiłków. Przykłady dzielności, ofiarnej miłości ojczyzny, barwne tło historyczne i obyczajowe, nastrój pogodny, łagodzący opisy krwawych scen — składają się na całość godną polecenia.

ODPOWIEDZI CZYTELNICZEK

(Patrz Nr. 9 „Dziś i Jutro")

6.

— Praca obywatelska? społeczna? — Ależ i owszem, bardzo jej pragnę, byle nie było przymusu!

Ala VIII.

7.

W projekcie obowiązkowej służby kobiet widzę dobre i złe strony. Bezwątpienia, że powinnyśmy służyć Polsce, społeczeństwu. Praca społeczna może być korzystna dla wyrobienia charakteru kobiet, bo tępi małostkowość, uczy szerzej patrzeć na życie. Może być bardzo korzystną dla społeczństwa, bo udział kobiet w pracy społecznej przyczynia się do łagodzenia obyczajów, do podnoszenia ogólnego etycznego poziomu. Jednakże odciąganie dziewcząt od domu rodzicielskiego, a zwłaszcza od wpływu matki nie wydaje mi się czemś wskazanem. I w dzisiejszych warunkach możemy dużo dobrego zrobić pracując w różnych stowarzyszeniach i organizacjach.

J. P.

8.

Kto chce dla drugich pracować — zawsze może, a kto nie chce — temu żadne kursa nie pomogą Do pracy społecznej trzeba zapału, serca. Mniej umiejętny a gorliwy więcej zdziała dobrego niż nauczony, a przymuszony.

X.

9.

Praca społeczna bardzo mnie zajmuje i chciałabym żeby ją do programu szkolnego wciągnięto. Po ukończeniu szkoły niema na to czasu Wtedy trzeba robić, a nie dopiero się uczyć.

W.

SONET

Noc wstaje srebrna w księżycowem lśnieniu,
Na niebios wnęku pali gwiazd kagańce,
Co zda się skoczne wywijają tańce
W świateł błyskliwych niespokojnem drżeniu.

Księżyc z uśmiechem na profilu bladym
Wspiera się brodą o brzeg drogi mlecznej,
W bezkres wędrówki wpatrzony odwiecznej
Podąża cicho nocy ciemnym śladem.

A miljon świateł iskrzy się w oddali,
Siłą fatalną w wszechświat rozpylony,
Kręci się wzajem i blaskiem się pali...

Czasem meteor od podniebnej strony
Przepłynie złoty po błękitów fali,
Jak krzyk płomienny z gwiazd do gwiazd rzucony.

Renia Gerlecka.

Z Nr. 1. Łamigłówka literacka 1. Atma, Ragmarök. Ryngraf. Jerychonka. Magnet. Czabary. Ona. Kądziel. Macierz Dewajtis. Klejnot. Hrywda. Błękitni. Barcikowscy. Wrzos. — M a r j a R o d z i e w i c z.

Łamigłówka 2. Jerychonka. Anastazja. Nad Niemnem. Kordjan. Omyłka. Chata za wsią. Huragan. Atma. Nieboska komedja. Orso. Waterloo. Serce Katarynka. Insurekcja. — J a n K o c h a n o w s k i.

Z Nr. 2. Zagadki: 1) Odwar. 2) Kawa. 3) Arka.

Łamigłówka: Vale. Maraton. Katon. Grabowski. Polelum. Makbet. Leśniczy (wspak). Polny. Słowacki. Porohy. Polesie. Biegun pdn. Mydło. Rodzice. Apis. — L a t o l e ś n y c h l u d z i.

Z Nr. 3. Układanka literacka: Komedjantka. W cieniu miecza. Lalka. Klejnot. Spekulant. Wiesław. Wrzos. Śpiewy historyczne. Rodzina Połanieckich. Powrót do gniazda. Lilla Weneda. Konrad Walenrood. Melancholja. Spotkanie. Książę Niezłomny. — J u l j u s z S ł o w a c k i.

Łamigłówka sylabowa: Tato. Odra. Filip. Irydjon. Liguryjskie. Lyon. Ewa. Nieprzyjaciel. Agamemnon. Rok. Troska. Olga. Włochy. Igła. Cykorja. Zawilec. — T e o f i l L e n a r t o w i c z.

Z Nr. 4. Łamigłówka 1. 1. M. 2. Wit. 3. Śledź. 4. Miesiąc. 5. Pik. 6. Bąk. 7. c. 8. Lipsk. 9. Pomorza. 10. Kazimiera. 11. Bydgoszcz. 12. Podkarpacie. 13. Marjan Zaruski. 14. Odprawa posłów. — M i e s i ą c P o m o r z a.

Łamigłówkka 2. 1. Wisła. 2. Erant. 3. Szata. 4. Obora. 5. Łosoś. 6. Tatry. 7. Chart. 8. Hasło. 9. Śliwa. 10. Wieża. 11. Irena. 12. Nudzą. 13. Toruń. — W e s o ł y c h Ś w i ą t.

Łamigłówka 3.

fig. 1

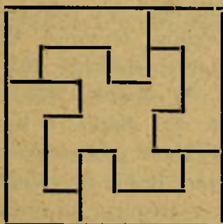
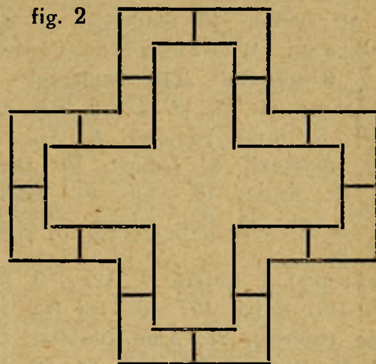
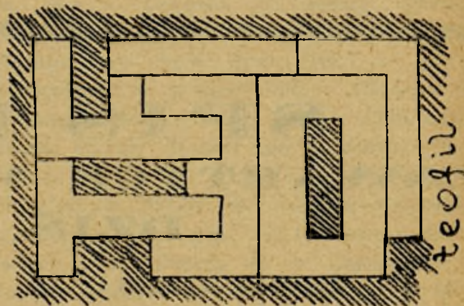


fig. 2



Z Nr. 5.



Krzyżówka „Chata“. P o z i o m o: 2) Boa, 4) Liszt, 5) Kurtyna, 6) Kant (2 ostatnie litery przestawić).

P i o n o w o: 1) Kos, 3). za, 5) kwik, 6) tlen.

Z Nr. 6. Rozsypanka.

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei,
I przed narodem niosą oświaty kaganiec,
A kiedy trzeba na śmierć idą pokolei
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec.

Słowacki: „Testament“.

Z Nr. 7. Logogryf: Kałamarze, Kalabrja, Kompromis, Kancjonał, Kantaryda, Perekitka, Konkordat, Agronomja, Mandolina, Hiszpanja. Uperniwik, Korniszon, Obojczyki, Refektarz, Lombardja. M a r j a K o n o p n i c k a.

Z Nr. 9. Łamigłówka 1. P i o n o w o: 1. Antek. 2. Aa. 3. O. 4. Mi. 5. Śliwa. 6. Szpic. 8. Kicia. 10. Neapol. P o z i o m o: 1. Ara. 4. Miś. 6. Sok. 11. Ul.

Łamigłówka 2. Czy znasz malarzy polskich? 1. Wiosna. 2. Idylla. 3. Elenai. 4. Rezurekcja.

5. Umizgi. 6. Siemiradzki. 7. Zaleski. 8. Kossak Jerzy. 9. Okoń. 10. Warszawa. 11. Ave Maria. 12. Löffler. 13. Stańczyk. 14. Kometa. 15. Zukowaki. Wierusz-Kowalski.

Nr. 7. Krzyżówka: „Liść koniczyny“.

Pionowo: 1. Po, 2. Ar, 3. Ka, 4. Brat (wstecz), 5. Ikwa (wstecz), 6. Aj, 7. Aar, 8. Ona (wstecz), 9. Lamus, 10. Ikar, 11. Adam, 12. Kafar, 13. Pale, 14. Adela, 15. Sum, 17. Lek, 20. Ona (stecz), 22. Osa, 30. Fe, 32. Ej.

Poziomo: 3. Kotara, 7. Arka, 9. Kabina, 9. Lira, 12. Kapa, 15. Sak, 16. Do, 17. La, 18. Oda (wstecz), 21. Amu (wstecz), 23. As, 24. Ef, 25. Len, 26. Mur, 27. Na, 28. Ka, 29. Ela, 30. Fa, 31. Re, 33. He, 34. Ja.

Ładne wazony na kwiaty.

Nadchodzi lato — kwiatów bywa w domu tyle, że nie wiemy gdzie je umieścić. Zróbmy sobie same kilka ładnych wazonów. Naczynia gliniane polewane — mogą być zwyczajne garnki, lub dzbanuszki — oblepmy zewnątrz warstwą kitu grubości 1-2 cm. Na to nałożymy, gęsto wtykając, małe kamyczki tłuczone (nie okrąglaki!). Najlepiej nadają się do tego jasne, wapienne. Wazon musi schnąć mniej więcej tydzień, lecz nie na słońcu, gdyż inaczej kit pęka.

W wazonie takim szczególnie ładnie wyglądają kwiaty polne.

M. W. C.

SPIS RZECZY ZAWARTYCH W ROCZNIKU VII. „DZIŚ I JUTRO“

Artykuły o treści religijnej, naukowej, społecznej i t. p.

Powieści, opowiadania, utwory scenicz.

Wiersze.

Muzyka.

Wiadomości bieżące

Recenzje i notatki bibljograficzne.



Roboty ręczne i rady praktyczne.

Od redakcji.

Od młodzieży.

Łamigłówki

TREŚĆ Nr. 10.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.
Konto P. K. O. Nr. 404.930.